

We władzy dyskursu

Z Heorhijem Kasjanowem, ukraińskim historykiem, rozmawiają Małgorzata Nocuń i Andrzej Brzeziecki

NOWA EUROPA WSCHODNIA: Co kryje się dla Pana pod pojęciem „pojednanie”? Pytamy między innymi o pojednanie polsko-ukraińskie.

HEORHIJ KASJANOW: Podam konkretny przykład. W 2003 roku odbyła się dyskusja na temat Wołynia i często używano słowa „pojednanie”, ale dla mnie napełniło się ono sensem dopiero, gdy Myrosław Marynowycz zwrócił się do polskich intelektualistów w liście otwartym, a adresaci listu go przyjęli. Zgodzili się uznać Wołyń za przeszłość, o której trzeba pamiętać, ale nie można bez końca szukać winnych tej tragedii. Obie strony były gotowe uznać winy swych przodków. Taki jest dla mnie sens pojednania – jest ono bezwarunkowe i obustronne.

Kiedy natomiast w kontekście pojednania pojawiają się takie terminy jak „historyczna prawda”, można zakończyć rozmowę. Każdy będzie miał swoją „historyczną prawdę” i tu nie da się dojść do zadowalających wyników. Wspólna prawda może polegać tylko na tym, że obie strony muszą przyznać się do winy i być gotowe wybaczyć.

Czy Pana zdaniem pojednanie może być ostateczne – dokonać się podczas ważnych dyskusji, spotkań, uroczystości – i zakończyć spory? Ostatni rok,

jeśli porównać go na przykład z latami 2003-2005 w stosunkach polsko-ukraińskich, chyba temu przeczył...

Bolesne tematy będą pojawiać się zawsze. Społeczeństwa nie są jednorodne, są w nich grupy, dla których wartości emocjonalne w historii są ważne, na nich budują tożsamość. Jeśli w przeszłości we wzajemnych stosunkach dwóch nacji napotykał się na różne problemy, to oczywiście proces pojednania może trwać długo. Dyskutując o stosunkach polsko-ukraińskich, musimy wspominać wydarzenia, które miały miejsce nawet czterysta lat temu. Wydawałoby się, że było to dawno i nie ma znaczenia, a przecież wciąż przywoływany jest obraz rezuna z jednej strony i ciemieńcy z drugiej. O ostatecznym pojednaniu nie można dyskutować, bo wymagałoby ono „wyprostowania” zbyt wielu kwestii i zaszłości.

Można mówić o konkretnych problemach. Na przykład nadanie przez Wiktora Juszczenkę Stepanowi Banderze tytułu Bohatera Ukrainy i reakcję polskiej strony można omawiać na kilku poziomach. Pierwszy to polityczne poglądy Wiktora Juszczenki i Lecha Kaczyńskiego. Drugim są reakcje społeczeństw, w tym określonych grup, które podchodzą do tego problemu emocjonalnie. Trzecim

poziomem jest problem relacji międzynarodowych.

Skupię się na perspektywie ukraińskiej. Dlaczego Juszczenko zdecydował się nadać Banderze tytuł pod koniec swojej kadencji prezydenckiej? Dlaczego nie zrobił tego w 2005 roku? Można znaleźć wiele wytłumaczeń, ja mam jedno, funkcjonalne. Było to pragnienie zademonstrowania swojej suwerenności jako prezydenta i suwerenności Ukrainy. Nie udało mu się wywalczyć suwerenności kraju na innych poziomach: energetycznym, bo Ukraina jest w dużym stopniu zależna od surowców rosyjskich, czy politycznym, bo kraj jest wciąż w strefie wpływów Rosji. Należało znaleźć dziedzinę, w której można było pokazać samodzielność. Właśnie polityka historyczna pozwoliła przyjąć postawę: „nikogo nie słuchamy, nie interesuje nas Rosja, nie interesuje nas Polska, decyzje podejmujemy sami, mamy swoich bohaterów i będziemy ich czcić”.

Czy myśli Pan, że napisanie wspólnego polsko-ukraińskiego podręcznika do historii będzie w najbliższej przyszłości możliwe?

Teoretycznie tak, ale taki podręcznik nie byłby zbyt interesujący – wyczerpane z różnic wspólne spojrzenie na przeszłość byłoby mdłe. Jeśli jednak byłby to nie podręcznik, ale próba prezentacji poglądów dwóch stron, także radykalnych stanowisk, byłoby to bardziej interesujące. Na przykład gdyby polski punkt widzenia Wołynia przedstawił Grzegorz Motyka i Grzegorz Stryjek,

ale także Polacy reprezentujący skrajnie odmienną wizję. Niechby ludzie to przeczytali i sami wyrobili sobie pogląd. Bo jeśli w podręczniku byłyby tylko umiarkowane teksty, czytelnik nie zrozumiałby, na czym w ogóle polega problem – skąd biorą się protesty, dlaczego temperatura dyskusji tak się podnosi, gdy pojawia się temat Wołynia. Trzeba by pokazać, kogo te spory interesują.

W takiej książce konieczny byłby pluralizm poglądów. Zresztą powinien on występować we wszystkich podręcznikach, ale podręczniki kojarzą się raczej z takimi pojęciami, jak wychowanie obywatelskie, patriotyzm, tolerancja, i narzucają dyskurs kompromisu. To trochę przypomina XIX wiek, kiedy podręczniki miały wychowywać żołnierzy, a teraz mają wychowywać ludzi tolerancyjnych.

Istnieje opinia, że podejście Leonida Kuczmy do historii było bardziej cyniczne, ale podobało się Polakom. Ponoć Kuczma było wszystko jedno, czy dyskusja koncentrowała się wokół Wołynia czy innych tematów, ale jeśli Polacy chcieli jakichś deklaracji, to je składał, licząc na inne profity.

Nie powiedziałbym, że tamto podejście było cyniczne, raczej że pragmatyczne. Kuczma był technokratą i wszystkie problemy rozpatrywał pod kątem tego, co mu się bardziej opłaca. Jeśli przeanalizować jego polityczną karierę, nietrudno zauważyć, że jego wystąpienia związane z historią zawsze zbiegały się z jakimiś trudnymi sytuacjami w polityce. Niektórzy zdefiniowali to zachowanie jako

strategię, tymczasem były to jedynie spontaniczne reakcje spowodowane sytuacją. On i jego doradcy myśleli o tym, jak zaprezentować się przed określoną częścią społeczeństwa, żeby ta uważała go za swojego. Dlatego do części Ukraińców wysłał sygnał, obchodząc osiemdziesiątą piątą rocznicę powstania Komsomołu, natomiast do innej – sygnał dotyczący Wielkiego Głodu. To za Kuczmy postulowano w ONZ uznanie Wielkiego Głodu za ludobójstwo.

Oczywiście Juszczenko prezentował inny typ myślenia i inny typ zachowania. Więcej wagi przywiązywał do kwestii ideowych. Trzeba tu wspomnieć o wpływie, jaki miała na niego nacjonalistyczna część diaspory ukraińskiej. Nie wiem, jak to powiedzieć, żeby nie urazić naszego byłego prezydenta, ale nie miał on zbyt krytycznego podejścia do tego, co mu wpajano. Pewne przekonania „włożono” mu do głowy i nimi się kierował. Niewiele poza tym go interesuje. Stąd mówienie o „najstarszym narodzie w Europie”, o Wielkim Głodzie i o OUN-UPA. Łatwo zauważyć, że wypowiedzi Juszczenki na temat historii nie zawierały głębszych refleksji. Posługiwał się gotowymi formułami. Jest księgowym i jego sposób myślenia o historii jest taki trochę buchalteryjny. Obchodził ważne rocznice jakby „zaksięgowywał” czyjeś pensje. Oczywiście do pewnych tematów podchodził emocjonalnie. Jest patriotą określonego terytorium. Kiedy mówił „mój naród”, nie miał na myśli politycznej nacji, lecz wszystkich obywateli Ukrainy.

W rocznicę 9 maja pozdrowiał weteranów Wielkiej Wojny Ojczyźnianej zawołaniem UPA: „Sława Ukrainie, herojom sława”. Jaki to miało sens?

To była jedna z beznadziejnych prób połączenia wody z ogniem. Żeby to miało sens, musiałaby istnieć jakaś wspólna wizja historii. Tymczasem część społeczeństwa kultywuje tradycje UPA, a inni uważają ich za bandytów i współpracowników nazistów. To jest nie do pogodzenia. Najbardziej zażarte wojny toczą się o symbole. Walki te przybierają na sile, gdy zaczynają w nie ingerować politycy, zwłaszcza w okresie kampanii wyborczych, kryzysów politycznych albo gdy zbliżają się jakieś rocznice.

Jarosław Hrycak głosi pogląd, że Ukraina potrzebuje amnezji na wzór Hiszpanii: należałoby na ileś lat odłożyć spory historyczne, stworzyć nowoczesne państwo i dopiero potem na spokojnie zająć się historią. Czy Pan się z tym zgadza?

Tak, to dobra myśl, tylko musi to być amnezja lecząca, bo może też być amnezja, z której pacjent już się nie przebudzi i wtedy będzie problem. Ideę amnezji szczególnie polecałbym politykom, aby umieli zdystansować się od historii i sporów historycznych i nie mieszała historii z polityką. Oczywiście można pamiętać, że była jakaś postać historyczna, wspominać ją też można, nie należy jednak bieżących problemów Ukrainy, na przykład gospodarczych, tłumaczyć faktem, że ileś lat temu wymordowano tyłu a tyłu Ukraińców.

Jednak Juszczenko chyba naprawdę chciał zjednoczyć naród.

A doprowadził do jeszcze głębszego podziału. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Możliwe, że miał dobre intencje, ale praktycznie cała jego aktywność na tym polu miała fatalne skutki. Nawet temat Wielkiego Głodu, który mógłby być symbolem zjednoczenia – przy całej problematyczności wyboru symbolu, bo przecież jest to wydarzenie depresyjne – został społeczeństwu przedstawiony w niewłaściwy sposób. Na początku ludzie dobrze reagowali na kwestię Wielkiego Głodu, wychodzili, by zapalać świece, spotykać się na wspólnych uroczystościach. Jednak w pewnej chwili cała ta polityka przekształciła się w pogoń za liczbami, coś w rodzaju: „dajcie nam jak najwięcej zmarłych potwierdzających ogrom tragedii”.

W 2007 roku odbyła się w Charkowie konferencja na temat rocznicy Wielkiego Głodu i Juszczenko zażądał od gubernatorów właśnie tych liczb do Księgi Pamięci. Jednego gubernatora zmieszał z błotem za to, że podane liczby ofiar są za małe, a drugiego chwalił, że jego liczby są odpowiednie. Mój znajomy historyk, który brał udział w tym wydarzeniu, opowiadał potem, że obchody zostały zorganizowane na zasadzie odwrotności działań komunistów w latach trzydziestych. Wtedy chodziło o zboże, teraz o zmarłych. Ważne były liczby i odpowiednie organy miały je dostarczyć. Potwierdzają to ludzie, którzy brali udział w projekcie obchodów rocznicy Wielkiego Głodu. Część z nich była zażenowana

formalnym, biurokratycznym podejściem do problemu.

Co zostanie z polityki historycznej Juszczenki w czasach, gdy państwem rządzi Wiktor Janukowycz? Jak w ogóle określić wizję historii kraju reprezentowaną przez „niebieską Ukrainę” z Janukowyczem na czele?

Janukowycz i jego obóz to technokraci, tymczasem Juszczenko jest ideokrata. Ideologia ma dla Janukowycza drużgorzędne znaczenie – odwołuje się do niej i wykorzystuje ją w walce o władzę i podczas politycznych dyskusji. Zmieniła się też ich sytuacja: po dojściu do władzy stosunek Janukowycza i jego współpracowników z Partii Regionów do ideologii na pewno ulegnie zmianie. Nie mają innego wyjścia, staną się „państwowcami”, ponieważ ich tożsamość i legitymacja może istnieć jedynie w państwie o nazwie Ukraina. Przypuszczam, że polityka historyczna będzie mniej zauważalna, także mniej agresywna niż za czasów Juszczenki, jednak nie wyjdzie poza ramy „państwowości”. Można się spodziewać rewizji niektórych postanowień i decyzji podjętych przez Juszczenkę. Z oficjalnej strony internetowej Janukowycza zniknęły już informacje na temat Wielkiego Głodu, nowy prezydent podejmuje też kroki w celu załagodzenia konfliktowej polityki historycznej Ukrainy wobec Rosji. Polityka historyczna będzie uprawiana w bardziej pluralistycznym, eklektycznym wariacie, ponieważ w otoczeniu Janukowycza znajdują się współpracownicy reprezentujący różne

historyczne poglądy, jak choćby Anna German i Dmytro Tabacznuk.

Czy może Pan wskazać inne wydarzenia z historii Ukrainy – mniej traumatyczne niż Wielki Głód – które nadawałyby się do zjednoczenia wokół nich Ukraińców?

To trudne pytanie, w poszukiwaniu odpowiedzi można by się cofnąć nawet do średniowiecza... W mitologii radzieckiej takim wydarzeniem była Wielka Wojna Ojczyźniana i pokonanie faszystów, ale zachodnia Ukraina by go nie zaakceptowała. Można szukać wspólnych bohaterów. Jedni wskażą na Bohdana Chmielnickiego, tymczasem wiadomo, co się stało po wejściu Chmielnickiego do Lwowa. Jak się do tego ustosunkować? Inne problemy wynikają, gdy próbuje się wyciągać na sztandary twórców. Oczywiście każdy naród „podkrada” takie postaci, ale w naszym przypadku próby zawłaszczenia Michaiła Gogola czy Michaiła Bułhakowa szybko zakończyły się niepowodzeniem.

Historia jest wielowymiarowa i trudno pogodzić wszystkie fakty. Jednoczyć powinny jakieś pozytywne doświadczenia, nie traumy. Na przykład można stworzyć mit ukraińskiej zaradności, tego, że Ukrainiec poradzi sobie w każdych warunkach. To naród, który idzie naprzód. Można też mówić o kulturze sprzeciwu. Mieliśmy dysydentów, ludzi, którzy w ciężkich czasach walczyli o prawo do swojej opinii. To wspaniałe przykłady! Choćby Wasyl Stus. To ważna postać w historii Ukrainy, ktoś, kim nasz kraj może się chwalić.

Ale w ukraińskich księgarniach nie można kupić nawet jego popularnej biografii.

Pojawienie się nazwiska Stusa w dyskursie to zasługa kilku intelektualistów, jego przyjaciół. W ten sposób spłacają dług wobec niego i czczą jego pamięć. Natomiast na poziomie państwowym oczywiście się tego nie robi. Można zrozumieć, dlaczego – z powodu klanowych układów. Ludzie, którzy dążą do tego, by na Ukrainie wypromować jakieś jednostki, mają też na uwadze swoje interesy. Dziś w ukraińskiej polityce jest sporo ludzi, którzy pisali donosy na dysydentów, wysyłali ich do więzień. Jak teraz mieliby czcić ich pamięć? W tym wypadku polityka jest mocno powiązana z historią.

Jak jako historyk ocenia Pan swobodę prowadzenia badań naukowych na Ukrainie, dostęp do archiwów?

W sensie politycznym panuje pełna wolność. Każdy historyk może pisać to, na co ma ochotę. Ma to też swoje złe strony, bo można pisać kłamstwa i nie ponieść żadnych konsekwencji. Zdarzają się też dziennikarze, którzy pisząc na tematy historyczne, dopuszczają się nadużyć.

Natomiast w sensie organizacyjnym wolność ta jest ograniczona instytucjonalnymi interesami archiwów, ich egoizmem i biurokracją. Po postu udostępnia się pewne dokumenty, inne wydziela się wybranym badaczom, a niektórych nie udostępnia się wcale. W sensie „instytucjonalnym” mamy poważny problem, jednak mieliśmy go zawsze i nie można

się spodziewać, by szybko ustąpił. Spotykałem się z nim również w Polsce, kiedy pracowałem w Archiwum Wojennym w Rembertowie.

Są też problemy o wiele bardziej złożone. To przede wszystkim poziom naszych historyków, znajomość przez nich języków obcych, otwartość na inne poglądy i paradygmaty historyczne. Władza dyskursu, o której pisał Michel Foucault, jest na Ukrainie silna, a zdolność do myślenia poza narodowym paradygmatem minimalna. Historycy, którzy nie są w stanie myśleć samodzielnie albo rozpatrywać alternatywnych interpretacji wydarzeń, stają się propagandystami. Wyzwolenie się spod władzy dyskursu wcale nie jest trudne. Co prawda, ja w kontekście Wielkiego Głodu zostałem już „żydomasonem” i „ręką Moskwy”, jednak każdy historyk, który publicznie demonstruje swoje poglądy, musi sobie zdawać sprawę, że będzie narażony na niepocholebne opinie. To w niczym nie przeszkadza.

Jakie białe plamy pozostały jeszcze w historii Ukrainy?

Jeśli przez białe plamy rozumiemy to, czego historycy nie wiedzą, to chyba żadne. Problem z białymi plamami wiąże się poniekąd ze wspomnianym brakiem profesjonalizmu i zależnością historyków od koniunktury ideologicznej i politycznej – zajmują się tym, na co jest popyt. Oczywiście mamy elitę historyków, postępującą i niezależną, ale ogólny poziom nie jest wysoki. System sam się reprodukuje. Ludzie, którzy w czasach radzieckich wyznawali

radzieckie stereotypy, dziś reprezentują stereotypy nacjonalistyczne. Kiedyś wszyscy byli marksistami, teraz wszyscy są nacjonalistami. Zmiana nastąpiła niemal niezauważalnie, bo marksizm, komunizm i nacjonalizm są sobie czasem bliskie i metoda, według której uprawia się historię, jest taka sama.

Czy ma Pan na myśli Stanisława Kulczyckiego – historyka, który w czasach ZSRR zaprzeczał Wielkiemu Głodowi, a teraz napisał o nim książkę?

Można powiedzieć, że Kulczycki przystosowuje się do sytuacji. W czasach ZSRR był moim promotorem i wykreślił mi z pracy Lwa Trockiego oraz Nikołaja Bucharina, choć pojawili się oni tylko w przypisach. Stwierdził, że nie należy nikogo drażnić. Z drugiej strony, przeszedł skomplikowaną ewolucję i było to dla niego dramatyczne doświadczenie. To człowiek mądry, znający języki, w odróżnieniu od wielu innych historyków. Ma wpojona etykę zawodową. Zawsze był wzorem naukowca, który chodził do archiwów i bibliotek, a większość ukraińskich historyków jest na to zbyt leniwa.

Kulczycki to świetny przykład władzy dyskursu. Miał zaprzeczać Wielkiemu Głodowi i robił to, potem otrzymał dostęp do dokumentów, z których jasno wynikało, że Wielki Głód miał miejsce. Zmienił pogląd i zaczął tworzyć obraz Wielkiego Głodu, jaki promowała dzisiejsza władza. Dlatego Kulczyckiego krytykują i komuniści, i nacjonaści. Komuniści mają mu za złe, że w ogóle porusza te tematy, a nacjonaści – że podaje za małe liczby ofiar.

Liczyby akurat podaje prawdziwe, ale ich interpretacja jest już wątpliwa. Gdy Kulczycki stara się udowodnić, że zbrodnia ta była ludobójstwem, przestaje być historykiem, a staje się propagandystą, publicystą.

Czy Pan uważa tę zbrodnię za ludobójstwo?

Nie. Ludobójstwo to zaplanowana likwidacja pewnej grupy narodowej. Można mówić o socjobójstwie, ponieważ była to zbrodnia przeciwko chłopstwu, ale nie było to ludobójstwo. To, co się stało, było nieprzewidzianym rezultatem. Oczywiście władze komunistyczne byłyby gotowe zamordować o wiele więcej ludzi, gdyby uważały to za konieczne, jednak w tym przypadku przyczyną masowych zgonów był plan przekształcenia małych gospodarstw rolnych w duże, kolektywne. Nie wzięto pod uwagę mentalności chłopów, którzy zastosowali pasywny sprzeciw i stwierdzili po prostu: „Prędzej umrzemy, niż pójdziemy pracować do kołchozu”. Takiej reakcji nie przewidziano, komuniści byli pewni, że zmusić można absolutnie każdego. Wtedy posunięto się do ostateczności – chłopom zabrano całe pożywienie. Potem jednak zaczęto wydzielać chleb i ziarno tym, którzy jeszcze byli zdolni do pracy. Gdyby komuniści chcieli zlikwidować wszystkich, nie zawahaliby się – przecież inne grupy zostały zlikwidowane: ziemiaństwo, burżuazja, stara inteligencja.

Może ten przechył w stronę narracji z pozycji nacjonalistycznych jest

naturalną reakcją na rosyjsko-radziecką wizję przeszłości, którą Ukraińcom tak długo wpajano? Jak oceniłby Pan trwałość radzieckich stereotypów historycznych na Ukrainie?

Społeczeństwo jest zróżnicowane, więc to zależy od wieku, wykształcenia, miejsca zamieszkania i tak dalej. Na Ukrainie popularne są radzieckie i rosyjskie filmy historyczne, różnego rodzaju seriale, produkcje podobne do hollywoodzkich, w których aktorzy mają białe zęby i opaleniznę – jak w *9 kompanii* Fiodora Bondarczuka. Taka wizja historii jest popularna nie dlatego, że jest to jakaś ideologia, lecz dlatego, że dobrze się to ogląda: strzelają, uprawiają seks.

Świadomość historyczna narodu ukraińskiego jest niewielka. Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy jest niezbyt pasjonująca nauka historii w szkole. Na początku lat dziewięćdziesiątych wymyślono, że należy uczyć historii w oparciu o narodowy paradygmat. Mówi się więc dzieciom o Ukrainie, która istnieje tysiąc lat i ciągle marzy, że będzie niepodległa, o tę niepodległość walczy, a naród składa się z pokoleń bojowników o wolność. Dzieci to po prostu nie interesuje, bo ile można słuchać, jak to się było gnębionym jako naród i wszyscy dookoła byli nieszczęśliwi. Sąsiedzi byli niedobrzy, a i we własnym narodzie było tylu zaprzańców, którzy wciąż tylko dopuszczali się zdraj. To strasznie depresyjna nauka. Do tego dochodzi wiek XX – z Wielkim Głodem, obozami. Dzieci od tego aż odrzucało. Łatwiej jest oglądać popularne filmy.

W których mówi się o Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej, a nie o II wojnie światowej.

Nawet jeśli będziemy mówili tylko o II wojnie światowej, to dla tych Ukraińców, którzy w niej walczyli, będzie jasne, że byli żołnierzami radzieckimi. Zresztą w podręcznikach z lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku też pisano o Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej. W umysłach Ukraińców odcisnęło się to pojęcie, ale nie wywołuje ono żadnych refleksji. Jedynie dla ludzi ze starszego pokolenia ta wojna jest święta. Problem pojawia się tylko wtedy, gdy ktoś chce go wykorzystać politycznie. Na co dzień kwestia stosunku do Wielkiej Wojny Ojczyźnianej/II wojny światowej przypomina spokojną taflę jeziora. Dopiero gdy ktoś – najczęściej w czasie kampanii wyborczej – rzuci kamień, woda się burzy. Stosunek do tej wojny zależy też od wykształcenia, poglądów politycznych i oczywiście regionu. Inny będzie u ludzi z zachodniej Ukrainy, inny u mieszkańców wschodniej części kraju. Historia komplikuje się zwłaszcza po 1944 roku, wcześniej – do 1939 roku i po 1941 roku – mieszkańcy zachodniej Ukrainy nie żyli w ZSRR, posiadali inną tożsamość. Dlatego trudno te lata omawiać z punktu widzenia narodowego – jak i całą historię Ukrainy.

Jak więc na nowo można by napisać historię radziecko-rosyjsko-ukraińską?

Taki projekt już się realizuje. Ukraińcy napisali historię Ukrainy po rosyjsku dla Rosjan, natomiast Rosjanie napisali

historię Rosji po ukraińsku. Idea była taka, by pokazać standardowe pojrzenie na historię Ukrainy i na historię Rosji. Powstały dwa grube tomy. W ukraińskiej wersji są różne warianty historii Ukrainy. Brałem udział w kilku dyskusjach związanych z tą koncepcją. Historycy z obu krajów starali się być politycznie poprawni, na szczęście nie do końca im się to udało. Widać więc, że profesjonalści mogą się porozumieć. Jest też trytomowa pozycja traktująca o stosunkach ukraińsko-rosyjskich w przeciągu tysiąca lat. W pewnym sensie jest to śmieszne, bo jakie mogły być stosunki ukraińsko-rosyjskie w XI albo nawet w XIV wieku? Stosunki kogo z kim? Państw? Takie państwa wówczas nie istniały, a mieszkańcy tych ziem nie mówili o sobie „Ukraińcy” i „Rosjanie”.

Najlepiej racjonalnie podejść do tego problemu. Zastanowić się, jak w ukraińskiej historiografii przedstawione jest rosyjskie imperium. Otóż jest ono przedstawione jako imperium, które ugniatało, niszczyło ukraińskość. Tymczasem to dzięki niemu na Ukrainie powstały uniwersytety, wykształciła się inteligencja – tak, ta sama inteligencja, która w 1917 roku robiła ukraińską rewolucję. To imperium było – nawet jeśli wbrew swojej woli – swoistym inkubatorem narodów. Aż trudno sobie wyobrazić, co by było, gdyby ono się nie pojawiło. Często na poziomie podświadomości pojawia się myślenie, że było to imperium Rosjan, co wychodzi poza ramy konwencjonalnego rozumienia imperium, ponieważ taki pogląd jest fałszywy. Przez długi

czas rządzili nim nie-Rosjanie, wystarczy przyrzeć się drzewom genealogicznym. W tym czasie imperia budowano w inny sposób, nie było imperiów etnicznych. Ale w narodowej narracji, która dominuje w ukraińskich podręcznikach, to imperium było siłą obcą narodowo, która wciąż ugniatała Ukraińców. Zwykle nie jest to napisane wprost, bo jeśli dokładnie przeanalizujemy ukraińskie podręczniki do historii, to tekstów wprost antyrosyjskich w nich nie znajdziemy. A teksty antypolskie, antytureckie czy antysemickie się zdarzały...

Nie ma więc bezpośrednio antyrosyjskich tez, ale kontekst jest taki: Rosja była zewnętrzną siłą, która wciąż przeszkadzała Ukraińcom normalnie się rozwijać, a Ukraińcy bardzo tego pragnęli. Wyzwolenie się z tego dyskursu jest ważne, by pokazać imperium nie tylko jako siłę ograniczającą – chociaż taką też było – ale jako coś o wiele bardziej złożonego.

Oczywiście byliśmy prześladowani, oczywiście książki po ukraińsku były zakazane, choć nie było znowu tak wielu ludzi, którzy mogliby je przeczytać. Powiedzmy jednak także, że w stolicy tego imperium wychodził magazyn „Osnowa” – jeden z pierwszych poważnych ukraińskich magazynów, i że centrum ukraińskich ruchów znajdowało się właśnie w Petersburgu, a nie w Kijowie, w tym *jugo-zapadnym* kraju, który do XIX wieku znajdował się pod polskim wpływem kulturowym.

Jakie powinno być podejście do innych kwestii historii imperium

rosyjsko-radzieckiego, już w XX wieku? Na przykład do wojny w Afganistanie, na której walczyli Ukraińcy. Wielu weteranów tej wojny mieszka na Ukrainie, czują się zaniedbani.

Dla Juszczenki byli to oczywiście żołnierze radzieccy, nie ukraińscy. Podejście Janukowycza jest trochę inne. Jeśli będziemy patrzeć na ZSRR tylko przez pryzmat narodowy, to oczywiście wszystko, co było związane z tym państwem, było złe: reżim totalitarny, gospodarka planowa i brak wolności słowa. Z drugiej strony nie zapominajmy, że terytorium dzisiejszej Ukrainy zostało ostatecznie sformułowane właśnie w czasach ZSRR. Były podarunki – jak przyznanie Krymu przez Nikitę Chruszczowa. Polityczna elita, która zresztą rządzi do tej pory, ukształtowała się w okresie radzieckim. Analfabetyzm zlikwidowano na Ukrainie za czasów radzieckich, system szkolnictwa – łącznie z wyższym, z którym do dziś mamy do czynienia – także powstał w czasach radzieckich. Współczesna Ukraina nic fundamentalnego do tej pory nie stworzyła – żadnej nowej gałęzi przemysłu. Została zbudowana jedna elektrownia wodna, bo zamknięto Czarnobyl, i to jest największe osiągnięcie tego państwa. Właściwie do tej pory Ukraina funkcjonuje jak część Związku Radzieckiego, bo cały czas wykorzystuje jedynie spadek po ZSRR.

W tym kontekście mówienie o Związku Radzieckim jako o twórcy, który przeszkadzał Ukraińcom żyć i funkcjonować, jest niezbyt w porządku. Nie może takich słów wypowiadać profesjonalny historyk.

Oczywiście nie chcę powiedzieć, że należy przywrócić ZSRR. To było państwo autorytarne, z rozwiniętym aparatem represji i cenzurą. Jednak w tym państwie też tworzono dobrą literaturę, sztukę, budowano szkoły i przedszkola. Nie chcę oceniać, czy było to dobre czy złe, stwierdzam jedynie fakty. 🏰

Heorhij Kasjanow (ur. 1961) jest pracownikiem Instytutu Historii Ukraińskiej Akademii Nauk. Wykładał między innymi na Harvardzie, w Cambridge, na Uniwersytecie Londyńskim. Ostatnio wydał książkę *Ukraina 1991-2007: narysy nowitn'oji istoriji* (Kijów 2008).